

PETER V.
BRETT

WIELKI BAZAR ZŁOTO BRAYANA

Strach. Strach przed otchłaniami.
Strach przed nocą. Strach przed śmiercią.

Strach to dobra rzecz. Dzięki niemu żyjemy.

Jeph Bales z Potoku Tibbeta, ojciec Arlena

Arlen nie miał nic przeciwko cierpieniu, gdyż oznaczało ono, że przeżył tam, gdzie powinien zginąć. Tej nocy, kiedy spojrzał w ślepią demona, który miał istnieć tylko w legendach, kiedy życia nie chroniły mu zbawienne runy, tej nocy zmienił zdanie...

W "Wielkim Bazarze" zawarłem wszystko to, co kocham w Arlenie. Bez względu na to, czy jesteś nowym czytelnikiem, czy też fanem serii, sądzę, że "Wielki Bazar" przypadnie ci do gustu.

Peter V. Brett

fabrykaslow.com.pl

MBP Cieszanów
Wielki Bazar ; Złoto Bra...



M000010860



Polub nas na
facebooku

BL
6/17
057018

Wyłączny
dystrybutor

fabryka słów

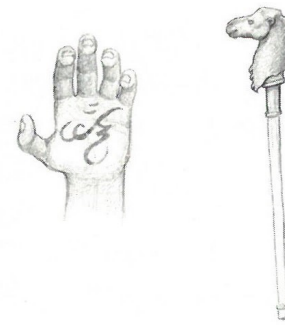
Nieznane losy bohaterów
Cyklu Demonicznego

PETER V. BRETT WIELKI BAZAR ZŁOTO BRAYANA

WOJOWNIK NIE UMIERA ZE STAROŚCI



fabryka słów



Wielki Bazar

328 ROK PLAGI

Zar słońca na pustyni był trudny do zniesienia. Wydawał się ciężki, przytłaczający, o wiele bardziej dokuczliwy niż upał czy ostre, jaskrawe promienie i Arlen co rusz łapał się na tym, że garbi się, jak gdyby musiał go dźwigać na własnych barkach.

Jechał skrajem pustyni krasjańskiej, gdzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się pustkowia spękanej, suchej gliny. Nie widział żadnego schronienia przed gorącem. Nie widział niczego, co mogłoby podtrzymać życie.

Nic nie mogłoby skłonić zdrowego na umyśle człowieka do wędrówki w te strony, zbeształ się w duchu. Wyprostował się w siodle, jakby chciał rzucić wyzwanie słońcu. Na ubranie narzucił cienką, białą szatę, na oczy naciągnął kaptur, zasłonił też usta i nos. Tkanina odbijała częściowo blask słońca, ale w tej okolicy wydawała się mizerną ochroną.

Narzucił nawet biały materiał na kark swego konia, gniadosza zwanego Porannym Śmigaczem.

Wierzchowiec zakaszał sucho, na próżno próbując pozbyć się wszechobecnego pyłu z gardła.

– Mnie też chce się pić, Śmigaczu. – Arlen pogładził jego kark. – Ale zużyliśmy już naszą rację wody dziś rano i nie mamy wyboru. Musimy jakoś dać sobie radę.

Znów sięgnął po mapę Abbana. Kompas zawieszony na szyi wskazywał, że Arlen nadal zmierzał prosto na wschód, ale nigdzie nie było ani śladu kanionu, który powinien pojawić się w zasięgu wzroku już wczoraj. Wędrowiec zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jak skąpo będzie wydzielać wodę, jeśli do jutra nie odnajdzie kanionu i płynącej nim rzeki, będzie musiał zawrócić do Fortu Krasja.

Chyba że chciałbyś zawrócić już teraz i oszczędzić sobie całego dnia męczarni z pragnienia, odezwał się głos w jego głowie.

Ów głos zawsze namawiał go do zawrócenia. Arlen uważał go za głos ojca, nieodstępujące widmo człowieka, którego nie widział od prawie dekad. Głos bowiem zawsze wygłaszał te same surowo brzmiące mądrości, które zwykł powtarzać ojciec. Jeph Bales był dobrym, uczciwym mężczyzną, ale przez swą surową mądrość nigdy w życiu nie oddalił się od domu dalej niż o parę godzin jazdy.

Każdy dzień z dala od schronienia otoczonego runiczną barierą oznaczał noc w towarzystwie otchłańców. Nawet Arlen nie znosił tego łatwo, ale cechowała go nieodparta, paląca potrzeba, by szukać

rzeczy, których nikt wcześniej nie widział, i docierać do miejsc, których nikt wcześniej nie odwiedzał. Miał jedenaście lat, kiedy uciekł z domu. Teraz liczył ich sobie dwadzieścia i niewielu znał ludzi, którzy zobaczyli tyle świata co on.

Ów głos w jego głowie, podobnie jak wyschnięte podniebienie, był po prostu kolejną rzeczą, którą Arlen musiał jakoś znieść. Dzięki demonom świat stał się dostatecznie mały. Szkoda by było, gdyby jakiś natarczywy głos jeszcze bardziej go zmniejszał.

Tym razem Arlen poszukiwał Baha kad'Everam, krasjańskiej wioseczki, której nazwa oznaczała „Miskę Everama”. Imieniem tym Krasjanie nazywali Stwórcę. Wedle map Abbana wioska znajdowała się w naturalnej niecce powstałej po wyschnięciu jeziora, utworzonego przez płynącą kanionem rzekę. Wioska słynęła z wyrobów garncarskich, ale kupcy przestali tam przybywać ponad dwadzieścia lat temu. Ekspedycja *dal'Sharum* dowiodła, że mieszkańcy wioski zostali pochłonięci przez noc, i od tej chwili nikt już tam nie zaglądał.

– Uczestniczyłem w tej ekspedycji – stwierdził Abban. Arlen spojrzał na niego z powątpiewaniem. – To prawda – utrzymywał Abban. – Byłem dopiero nowicjuszem i moim zadaniem było jedynie noszenie włóczy za *dal'Sharum*, ale dobrze pamiętam wyprawę. Nigdzie nie było ani śladu mieszkańców, choć wioska wydawała się nietknięta. Wojownikom nie zależało na wyrobach garncarskich, a wywiezienie ich nie licowało z ich honorem. W ruinach nadal

znajduje się więc mnóstwo drogich wyrobów, które czekają na odważnych.

Z tymi słowami nachylił się ku Arlenowi.

– Za wyroby garncarskiego mistrza z tej wioski dostaniesz fortunę na bazarze – powiedział znacząco.

I tak oto Arlen znalazł się w samym sercu pustyni, zastanawiając się, czy Abban tego wszystkiego nie zmyślił.

Wędrował jeszcze przez cztery godziny, aż dostrzegł cień biegnący w poprzek gliniastych pustkowi. Serce zabiło mu żywiej w piersi, gdy z grzbie tu wolno człapiącego Porannego Śmigacza ujrzał wreszcie kanion. Odetchnął z ulgą i przypomniał sobie, że nie bez powodu zignorował głos ojca. Skierował się na południe i po chwili ujrzał niekę, w której znajdowała się wymarła wioska.

Poranny Śmigacz z wdzięcznością powitał cień, rzucany przez ściany kanionu. Mieszkańcy wioski najprawdopodobniej podzielali upodobania wierchowca, gdyż wyryli izby głęboko w ścianie klifu. Na zewnątrz ciągnęły się piętra dobudówek zlewających się kolorem ze ścianami kanionu, z większej odległości całkiem niedostrzegalnych. Był to znakomity kamuflaż, chroniący przed demonami wichrowymi, które zapewne unosiły się nad gliniastymi równinami w poszukiwaniu ofiar.

Mimo takiej ochrony mieszkańcom wioski nie udało się ująć z życiem. Rzeka bowiem wyschła, a choroby i pragnienie sprawiły, że stali się łatwą zdobyczą dla otchłanców. Być może garstka powa-

żyła się na wędrowkę przez pustynię krasjańską, ale nigdy o nich nie słyszano.

Entuzjazm Arlena szybko przygasł, gdy uświadomił sobie, że wjeżdża w cmentarzysko. Znów. Kreśląc runy ochrony w powietrzu, mijał domostwo za domostwem i nawoływał, nadal żywiąc próżną nadzieję, że natrafi na ocalonych.

Jednak młodzieńcowi odpowiadało tylko echo własnych pokrzykiwań. W wielu oknach i drzwiach brakowało już płacht chroniących przed słońcem, a te, które zostały, były brudne i postrzępione. Wycięte w fasadach budynków runy utraciły wyraźne kontury po wielu latach opierania się ostrym pustynnym wiatrom. Ściany nosiły ślady demonich pazurów. W osadzie nie było żywego ducha.

W centrum wioski Arlen odnalazł jednak demone doły, do których Krasjanie zwabiali otchłance i gdzie je przetrzymywali do świtu. Natrafił też na barykady ciągnące się zygzakami po stromych kamiennych schodach, łączących piętra wsi. Umocnienia te – imitacja Labiryntu – zostały naprędce wzniesione przez *dal'Sharum* nie po to, by obronić mieszkańców wioski, lecz po to, by uczcić ich pamięć. Baha kad'Everam była co prawda osadą *khaf-fit* – ludzi niezasługujących na zaszczyt dzierżenia włóczni bądź wejścia do Nieba – ale nawet im należał się spoczynek w poświęconej ziemi. Dzięki temu, jeśli okażą się tego godni, ich dusze będą mogły odrodzić się w ciałach ludzi z wyższych kast.

Dal'Sharum znali zaś tylko jeden sposób na poświęcenie ziemi – należało ją zbryzgać czarną ju-

chą płynącą w żyłach otchłańców. Nazywali to *alagai'sharak*, czyli „wojnę z demonami”. Była to bitwa, którą toczyli co noc w Forcie Krasja, niekończące się starcie, które miało trwać do chwili, kiedy wszystkie demony zostaną wytępione lub gdy padnie ostatni obrońca. Tej jednej nocy wojownicy odtańczyli *alagai'sharak* w wiosce Baha kad'Everam, by poświęcić cmentarzysko, jakim się stała.

Arlen ominął bariery i zjechał na dno rzeki. Niedługo był to szeroki, potężny kanał, teraz jego środkiem płynęła jedynie brudna, błotnista struga. Jej brzegi nadal porastała skąpa, mizerna roślinność, ale kilka kroków dalej z ziemi sterczały już tylko zwiedłe łodygi, zasypane pyłem i zbyt zeschnięte, by zgnić.

Tu i ówdzie znajdowały się niewielkie kałuże cuchnącej, brązowej wody. Arlen przefiltrował ją przez sukno i węgiel, ale doszedł do wniosku, że wcale nie prezentuje się bardziej zachęcająco. Postanowił więc ją zagotować. Poranny Śmigacz tymczasem skubał wątłe łodyżki i żdźbła trawy.

Robiło się późno i Arlen z niechęcią spojrzał na zachodzące słońce.

– Chodź, mały – odezwał się do konia. – Pora się zamknąć na noc.

Poprowadził wierzchowca w górę na brzeg rzeki i po chwili znaleźli się na głównym placu wsi. Okolice te rzadko nawiedzał deszcz, erozja też postępowała powoli, więc demonie doły, głębokie na dwaście jardów i szerokie na dziesięć, znajdowały się w idealnym stanie. Runy, które wyryto w otacza-

jących je kamieniach, były jednakże przybrudzone i wyblakłe. Demon wrzucony do któregoś z tych dołów najprawdopodobniej bez trudu by się wydostał.

Tak czy owak, jamy stanowiły jakąś formę ochrony. Arlen rozłożył przenośne kręgi między ścianami budowli oraz jedną z dziur, ograniczając w ten sposób dostęp do obozowiska.

Przenośny krąg runiczny, po rozłożeniu mierzący dziesięć stóp średnicy, składał się z lakierowanych drewnianych płytek połączonych mocną liną. Na każdej wymalowano starożytne symbole ochrony, dzięki którym wędrowiec nie musiał się obawiać żadnego znanego gatunku otchłańców. Arlen rozłożył płytki precyzyjnie, dokładając wszelkich starań, by runy połączyły się w niewidzialną barierę.

W środku jednego z kręgów wbił drąg, a potem obwiązał nogi Porannego Śmigacza, pętając go i przywiązując do prowizorycznego słupa za pomocą skomplikowanego węzła. Gdyby koń próbował się zerwać po nadejściu demonów, liny zacisnęłyby się i zatrzymały go, ale Arlen w razie potrzeby mógł uwolnić go w okamgnieniu – wystarczyło odpowiednio szarpnąć pętlę.

Wewnątrz drugiego kręgu urządził własne obozowisko. Ułożył ognisko, ale nie rozniecił go jeszcze – drewno było na wagę złota, a pustynne noce bywały nieprzyjemnie zimne.

Myśli Arlena, zajętego wieczornymi czynnościami, mknęły ku kamiennym schodom i wyżej, ku piętrzem ogromnego domu wbudowanego w ścianę klifu. Znajdował się tam warsztat mistrza Dravaziego,



którego malowane wyroby garncarskie za życia rzeźmieśnika były warte swej wagi w złocie, a teraz stały się bezcenne. Za oryginalne naczynie Dravaziego, zapomniane na kole garncarskim, Arlen sfinansowałby całą podróż. Kilka uczyniłoby go bogaczem.

Dzięki mapom Arlen zdołał się nawet domyślić, gdzie znajdował się warsztat mistrza, ale poszukiwania musiały poczekać, gdyż słońce chyliło się już ku horyzontowi. Ledwie znikło, a gorąco natychmiast uszło z gliniastych pustkowi i pomknęło ku niebu, otwierając demonom drogę z Otchłani. Z ziemi wokół kręgów uniosły się kłęby szarej, złowieszczej mgły, z wolna krystalizującej się w demoniczne formy.

Z pojawieniem się pierwszych obłoków Arlen poczuł niespodziewany atak klaustrofobii, jak gdyby kręgi zmieniły się w szklane ściany, odcinając go od świata. Oddychał z trudem, choć runy zatrzymywały tylko magię demonów, a policzki Pośłańca chłodziły właśnie podmuchy wiatru. Spojrzał na demony, pojawiające się dookoła niego niczym dozorczy więzienni, i odstąpił zębami.

Jako pierwsze proces materializacji zakończyły demony wichrowe, które stojąc, sięgały wysokiemu mężczyźnie do ramienia. Z ich łbów wyrastały stateczniki, przez co potwory te mierzyły osiem do dziewięciu stóp. Ich wielkie, długie pyski były zakończone ostro niczym dzioby, ale kryły rzędy zębów grubości męskiego palca. Ciała chronił mocny, elastyczny pancerz, który mógł zatrzymać ostrze włóczni i grot strzały. Między bokami a mięśniami

ramion rozciągała się twarda błona, jej rozpiętość trzykrotnie przewyższała długość ciała potwora. Skrzydła uzbrojone były w złowieszcze, zakrzywione szpony, które podczas nurkowania mogły odciąć ludzką głowę.

Wichrzaki nie zwróciły na Arlena uwagi, gdyż ten opierał się o ścianę budowli i nie rozpałił jeszcze ognia. Zmaterializowawszy się, pognały do koryta rzeki. Poruszały się niezdarnie na króciutkich nóżkach, lecz gdy tylko, wrzeszcząc, zeskoczyły z krawędzi urwiska i z trzaskiem rozłożyły ogromne skrzydła, ich okrutna, złowroga elegancja ożyła w jednej chwili. Wystarczyło kilka machnięć, by demony znalazły się na wysokim pułapie, skąd mogły polować na zdobycz.

